Rok IV. Kraków, dnia 30. Stycznia 1910 r. Nr. 5.



TYGODNIK OBRAZKOWY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.
Wychodzi na niedzielę.

Przedpłata: Rocznie 4 korony, półrocznie 2 korony. — Do Ameryki 2 dolary, — do Niemiec 6 koron. — **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Administracya „Roli“, Kraków, ulica Garncarska l. 1. — Cena ogłoszeń 20 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi (z wyjątkiem listów o prenumeratę): Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie, Rynek główny L. 8, I. piętro. — Numer pojedynczy 10 halerzy.

Zima — niedola.

Zima-niedola, zima-macocha... Tak mówi o niej człek ubogi, co nie ma czem ochronić się od mrozów, od śnieżnych zamieci, któremu brak w chacie opału dla biednych dzieci, drżących od zimna w chłodnej izbie przez długie miesiące. Bo w istocie mało radości niesie z sobą ta pora roku: pokryje rzeki lodową skorupą, w ostre mrozy wygubi moc drobnego ptastwa, a i biedak niejeden poodmraża ręce lub nogi, gdy mu dalsza droga w mroźny dzień zimowy wypadnie.

A jednak potrzebną jest ona na ziemi. Odpoczną role rodzące, wysilone przez wiosnę, lato i jesień — i rolnik odpocznie na krótkim dniu po ciężkiej pracy na czarnym zagonie od pierwszych brzasków dnia do późnego wieczora. Potrzebną jest, jak przemijająca niedola w życiu człowieka, którą gdy Bóg wszechmocny usunie, tem większa potem radość z każdego dnia lepszej, jaśniejszej doli.

W smutnych dziejach naszego życia narodowego, odkąd przestaliśmy być samodzielnem państwem, znajduje zastosowanie mądre przysłowie że „niema złego, coby na dobre nie wyszło“. Przykład mamy bardzo dobry na tej części Polski, która znajduje się pod panowaniem pruskiem. Wiadomo, jakich prześladowań naród nasz od Prusaka doznaje: jak rząd tamtejszy zabrania używania ojczystej mowy nawet na zebraniach, gdzie radzą sami swoi, jak utrudnia stawianie domów na swoim własnym gruncie, co powoduje, że niektórzy tamtejsi polscy wieśniacy za przykładem znanego Drzymały mieszkają w wozach komedyanckich nawet podczas twardej zimy; jak w szkołach zabrania dzieciom polskim polskiego pacierza... A jednak mimo to wszystko tamtejszy nasz lud nie poddaje się uciskowi, nie traci wiary w pomoc Bożą i przyszłość narodu, lecz pracą i wytrwałością dokazał tego, że dzisiaj jest najzamożniejszym z Polaków, a czytając bardzo liczne w Poznańskiem i na Śląsku pruskim polskie gazetki — jest też najoświeceńszym. Ucisk zaś Prusaka o tyle też na dobre wyszedł tamtej polskiej dzielnicy, że szlachcic wiejski, chłop na roli i mieszczanin — wszyscy trzymają z sobą razem i zgodą a pracą budują i spajają na nowo z pomocą Bożą Ojczyznę, przed stu laty rozszarpaną. Tak jest, niema złego, któreby nie miało dobrej strony.

Niewola dla narodów — to jak zima-macocha. Mrozi ducha, kostnieją od niej ręce, dzień powszedni robi się cięższym, praca trudniejszą. Naród w niewoli, jak człowiek w mrozach, z utęsknieniem czeka cieplejszej pory, a nim się doczeka, szuka, gdzieby się zagrzać, spieszy tam, gdzie wieczny żar bije: do religii świętej, do wspomnień o lepszych chwilach narodu. Ciężko jest w niewoli...

Ale nie wieczne jej panowanie. Choćby najbardziej się srożyła, to jednak w mocy Najwyższego jest ją przełamać, zazielenić role świeżą runią i po smutnych dniach zimy dać radosną wiosnę i szczęśliwe lato. Ale aby takie szczęśliwe lato przyszło dla uciśnionego narodu, potrzeba przedewszystkiem zgody wszystkich stanów, wyrozumienia wzajemnego i chrześcijańskiej między wszystkimi miłości. Tę zgodę przypominać, ją zalecać nieustannie, jest jednem z zadań naszej gazetkj — i jak dotąd, tak też i nadal *Rola* będzie temu celowi wiernie służyła, pragnąc gorąco, aby zima-niedola odleciała daleko, a zawitała wiosna lepszej doli — dla wszystkich.

Krzyżacy na Litwie.

VIII. ZAPROSZENIE NA GODY.

Stary Kiejstut. — Żarty z lutnistą. — Przyjęcie posłów Jagiełły. — Odpowiedź krzyżacka. — Przygotowania wojenne.

Już po trzykroć z wieży świętej ogłoszono wesele na zamku książęcym. Rozbiegli się gońce w różne strony, zapraszając książąt i panów na uroczystość godową; i do Kiejstuta w tym celu wyprawieni zostali dwaj znakomici dworzanie. Wprowadzeni na zamek trocki, nie zaraz mogli mieć przystęp do pana; więc zatrzymawszy się w izbie radnej, czekali aż odźwierny znajdzie sposobność opowiedzenia ich księciu. Kiejstut w tej chwili znajdował się w sypialnej swojej komnacie. Ściany tej obszernej i wysokiej izby najeżone były rogami żubrów i jeleni, na której zawieszona podręczna broń księcia, zbroje, miecze i łuki. Sędziwy starzec, siedzący w krześle, miał na sobie długą czamarę z łosiowej skóry haftowaną złotem, nogi po kolana obwinięte skórą niedźwiedzią i czapkę sobolą z wierzchem szkarłatnym. Znać było z twarzy, iż z ciężkiej powstawał choroby. Wzrost jego zdał się być mierny. Na zoranem wiekiem i przygodami obliczu jeszcze się piętno dawnej dzielności dawało postrzegać; dzisiaj już to oblicze sama tylko zalegała dobroć, a włos biały, broda takaż i barki skurczone, jeszcze szanowniejszą czyniły starość bohatera.

Jurgo, dawny towarzysz oręża i poufalec księcia, w krótkim rozpiętym kaftanie, pełen wojackiej postawy, stał blizko krzesła, trzymając na palcu ulubionego pańskiego sokoła, któremu książę jeść dawał. Opodal, na ławie pod oknem, siedział pokojowiec księcia i trzymając w ręku bardon,*) czasem nim się smutno odezwał, czekając, aż mu pan zaśpiewać co każe. Był to młodzieniec najwięcej lat dwadzieścia mający.

— Czemu ty, Sławeńko, od niejakiego czasu — odezwał się książę — same mi tylko smutne grasz pieśni? Ja lubię wesołość, ty tęsknisz na Trokach; mów mi, chłopcze, może ci zdrowie między temi wodami nie służy?

— Panie! mnie przy tobie najlepiej — odpowiedział młodzieniec.

— Bardzo wierzę, że się chłopiec nudzi — rzekł Jurga. — Przed kilku jeszcze laty na każdej z wysepek tego jeziora więcej było ludzi, niż teraz w całym tym grodzie, tak ich pomału wywabiło to Wilno przeklęte.

— Tem lepiej — odpowiedział książę. — Lubię kiedy człowiek tam garnie się, gdzie znajduje korzyść; znam jednak jedno opuszczone zamczysko — mówił uśmiechając się — w któremby rad Sławeńko przebywał. Nieprawdaż, chłopcze, Kiernów ztąd niedaleko?

— Kiernów niedaleko zapewne — rzekł Jurga — ale cóż, kiedy do Kiernowianki wysoko. Wielka to pani, niebardzo w naszych pieśniach smakuje.

Na te wyrazy żywym rumieńcem zapłonął młodzieniec. Postrzegł Kiejstut zawstydzenie jego i chcąc go rozerwać, tak dalej mówił:

— Nie rozpaczaj, chłopcze, jeśli da się co zrobić, ja ci pewnie pomogę; a teraz, ponieważ do tęsknych tonów bardziej jesteś sposobny, zaśpiewajże mi, miły Sławeńko, o mojej kochanej Birucie.

*) Przyrząd muzyczny do grania, ze strunami, jak lutnia.

Ona była także piękną i dobrą, a jam dawno o niej nie słyszał.

Natychmiast śpiewak uderzył w struny i podniósł głos tkliwy. Śpiewał najazd Krzyżaków, męztwo Kiejstuta, wdzięki Biruty.*) W czasie śpiewania starzec niekiedy z głosem się swoim odezwał, lub milszą sobie kazał strofę powtórzyć.

Gdy skończył młodzieniec, wszedł do komnaty odźwierny i opowiadał posłów z Wilna przybycie. Kazał ich zaraz książę wprowadzić, poznał dworzan synowca i podając im rękę do uściśnienia, rzekł:

— Witajcie, moi przyjaciele! Siadajcie i powiedzcie mi, jak się ma mój kochany synowiec?

Posłowie przez uszanowanie usiąść nie chcieli.

— Książę Jagiełło, pan nasz — rzekł naczelnik poselstwa — zdrów z łaski bogów, a wam, książę Kiejstucie, przesyłając cześć i pozdrowienie, prosi was z całym dworem na wesele swej siostry, księżniczki Akseny.

— Czy tak? — rzekł uradowany książe. — To tedy zjawił się mąż kochanej mojej synowicy? Powiedzcież mi, za kogo to książę wydaje księżniczkę?

— Za Wojdyłę, sługę i przyjaciela swego.

— Jakto? — przerwał zdziwiony Jurga — za Wojdyłę, co kuchnią zawiadował Olgierda?

— Nie wiemy — rzekł poseł — jaki on urząd sprawował u ojca księżniczki, ale to wiemy, że książę Olgierd, kochając go jak syna, przy śmierci zalecił Jagielle, iżby z nim zawsze obchodził się jak z bratem i wyznać winniśmy, że Wojdyło nigdy nie przestał być godnym tak zaszczytnych względów.

— Wiemy o tem — rzekł książę — ale jakiż był powód do uczynienia takiego wyboru?

— Zdaje się, że wzajemne ku sobie chęci i kilkoletnią stałością utwierdzona miłość — odpowiedziai poseł.

— Więc znać — rzekł starzec — że takie były rozrządzenia nieba, którym się trudno przeciwić. Znam ja synowca i bratowę moją i wiem, że nic płocho nie czynią. kiedy więc już wybrali małżonka księżniczce, nie czas ganić, lecz chęć przychylić i wszystko w tem dobre znajdować należy. Powiedzcie zatem mojej kochanej synowicy, że jej błogosławię i starać się będę być na jej weselu; ale powiedzcie oraz, w jakim mnie stanie zdrowia widzicie, aby na przypadek niemożności zjechania, nie poczytano nieobecności mojej za niechęć, albo lekceważenie. Skarżę się wam moi mili, że już od miesiąca ból nóg nie pozwala mi ruszyć się z miejsca, i dlatego nie odwiedziłem dotąd Jagiełły po jego z Polski powrocie, a jest mu, słyszę, czego winszować i o czem nagadać się; więc to wszystko do ozdrowienia odkładam, a teraz proszę, żebyście ze mną zdrowie państwa młodych wypili.

Kazał tedy przynieść starego wina; pił do posłów, nie szczędząc prośb i nalegania, żeby jak najczęściej ponawiali kolej; wypytywał się o okoliczności wyprawy Jagiełły i żartował z męztwa Akseny, ciesząc się, że nakoniec znalazł się rycerz, który ją zwojował. Widząc wreszcie, że posłowie do odjazdu się mają, prosił ich, żeby przenocować chcieli, ale oni oświadczając, że mają zalecony pośpiech w powrocie, niezwłocznie księcia żegnali. Kazał tedy Kiejstut przynieść ze swej szatni dwie pary sukien bogatych i obdarowawszy posłów, żegnał ich i ponawiał życzliwe chęci całej Jagiełły rodzinie.

*) Kiejstut, wracając z wojny pruskiej, upodobał sobie w Połądze Birutę, pannę bogom poświęconą, gwałtem ją wziął od ojca i poślubił. Gdy umarła, syn jej Witold zawiózł ciało matki do Połągi i tam pogrzebał.

Po ich oddaleniu się Jurga z zadziwieniem zaczął unosić się nad dobrocią pana, że tyle jeszcze jest na synowca łaskawym, który wzbijając się nadle w potęgę, ledwo mu cień zostawił władzy nad Żmudzią. Dobry Kiejstut śmiał się z Jurgi przymówek.

— Zważ panie — rzekł Jurga — jak się w każdym kroku objawia nieżyczliwość twego synowca. Wybierając się na polską wyprawę, nie oddał ci rządu nad Litwą i więcej swemu szafarzowi zaufał, niż tobie stryjowi. Wspomnij też, że odrzucił chęci twego siostrzana Daniela, odmówił mu ręki Akseny, a teraz, jakby na wzgardę, przeznacza ją jednemu ze sług, który niedawno miód u stołu Olgierda nalewał.

— Tem lepiej — rzekł Kiejstut. — Że mi rządów Litwy nie powierzył, bardzo dobrze uczynił, bo wiedział pewnie, że moje zdrowie niepotemu. Co się zaś tyczy nieprzyjęcia oświadczeń mego siostrzana, jego w tem wina, że się podobać nie umiał. Ale nie bardzo go to zmartwiło, jakem uważał; więcej często się strapił, kiedy mu się zwierz wymknął z pod strzału. Jużci zapewne lepiej byłoby, żeby księżniczka inny wybór zrobiła, chociaż i Wojdyło walny chłopak, brat mój, Olgierd, bardzo go lubił, trzeba też przyznać, że się udał do rady i do oręża. Ale to gorzej, mój Jurgo, ja czuję, że na weselu nie będę się mógł znajdować, nogi moje jeszcze niewiele są warte. Trzebaby wcześnie pomyśleć, kogoby na przypadek z darami tam posłać. Myślę, że tybyś najlepiej to sprawił.

— Bynajmniej, książę — odpowiedział Jurga. — Poślij mnie zamki dobywać lub sypać okopy, godnym się pewnie twoich rozkazów okażę, ale na tem weselu wcalebym się pokazać nie umiał.

Nie podobało się to odmówienie księciu, umiał jednak pokryć swą niechęć i myślał o wyborze innej osoby.

* * *

Tymczasem wróciwszy posłowie do Wilna, chcieli zdawać sprawę Jagielle z tak uprzejmego przyjęcia na Trokach, ale podstępny Wojdyło nie dopuścił im widzenia pana i w przeciwnym widoku wystawił mu życzliwość stryjowską.

Właśnie w tym czasie stanął z powrotem wysłany do mistrza goniec i jak najpożądańszą przywiózł odpowiedź. Chciwy zawsze niezgód książąt litewskich Krzyżak, nietylko przyrzekał t a j n y związek Jagielle przeciw Kiejstutowi, lecz nadto obiecał w pogotowiu na granicy trzymać swe wojska na pierwszy znak boju. Ta pomyślna wiadomość niezmiernie ucieszyła Jagiełłę. Słaby jego umysł, nieufnością ku stryjowi przejęty, coraz widoczniejszą dla całej jego rodziny pałał niechęcią. Użył tej chwili niegodny Wojdyło do przełożenia panu potrzeby korzystania z czasu, radząc mu uderzyć na Andrzeja Kiejstutowicza, księcia na Połocku, i pod pozorem uchybionej daniny, wygnać go z państwa dla osadzenia na niem Skiergiełły. Trafiła bezbożna rada do serca Jagiełły i tem łatwiej zapaliła w nim żądzę widzenia ukochanego brata udzielnym panem, że Skiergiełło osobiście tej wyprawie miał dowodzić; dla lepszego zatem zamiarów ukrycia, postanowiono w czasie godów, kiedy uwaga powszechna zwróconą będzie na okoliczności weselne, nagle napaść na Połock.

Rycerstwo litewskie, z którego wielu cieszyło się nadzieją uciech godowych, odebrało niemiły rozkaz, w pierwszym dniu biesiady być w pochód gotowem, nie wiedząc wcale, kędy ma obrócić. Inni z zaproszonych gości, dowódcy hufców i przyjaciele Skiergiełły, przypuszczeni do jego skrytości, z nim razem przyrzekali wyruszyć; Krzyżacy mieli tylną straż składać. Wszystkie te przygotowania czynione były z jak największą bacznością, lękano się bowiem, aby Kiejstut, ojciec skazanego na wydziedziczenie księcia, tak blizki sąsiad Wilna, nie odkrył tej zmowy i nie zniweczył zamiarów.

Atoli mimo najstaranniejsze zabiegi, nie można było rzeczy w utajeniu dochować. Przezorna Aksena postrzegać zaczęła rozruch w rycerstwie i częste Wojdyły ze Skiergiełłą narady. Widziała, jak w koszach znoszono z górnego zamku sprzęt wojenny. Widok ten wzniecił w niej zapał walczenia; już nie wątpiła, że się gotowano do boju, chciała tylko wiedzieć, jakie strony i ludy były celem wyprawy.

— Bracie Skiergiełło — rzekła, ściskając jego rękę — piękne się dla was, jak widzę, pole otwiera, lubię, że nie zapominacie, coście sobie winni, mów więc na kogo macie uderzyć?

— Jak też możesz myśleć, żebyśmy pod twe gody czem innem, jak nie twojem szczęściem, byli zajęci? — odpowiedział zmieszany Skiergiełło. — Porzuć raz, siostro, te myśli wojenne, które płci twojej wcale nie przystoją.

— Więc te rynsztunki, miecze i strzały do wesela mego mają należeć? Gdyby mi wolno było widzieć się z Wojdyłą, obeszłabym się bez powierzeń twoich.

— Czy cię te zbroje i strzały zastanawiają? Otóż się dowiedz, że młodzież dworska układa na dzień twego ślubu gonitwę.

— Próżno mnie chcesz oszukać, wiem ja, co gonitwa, a co bój krwawy. Gdyby to tylko zabawa być miała, nie dawanoby całego składu ze zbrojowni, nie ściąganoby wojska. Wreszcie na cóż te strzały z żelezcem, te pociski śmiertelne, te rohatyny*) świeżo ostrzone?

— Czyż można, siostro, na najmniejszy widok oręża zaraz wojnę marzyć? Myśl raczej o tańcach i strojach, jeśli raz jeszcze nie chcesz rozgniewać Jagiełły.

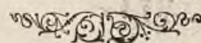
— Nie chcę znać godów, nie chcę znać męża, jeśli zawsze obok niego walczyć nie będę. Potrafiliście mi przeszkodzić, żebym wam na polską nie towarzyszyła wyprawę, ale teraz żadna mię siła w domu nie zatrzyma.

Skiergiełło widząc, że żadnym sposobem ukryć przed siostrą nie zdoła wyprawy, starał się przynajmniej w jej przekonaniu dać jej inny obrot i zapewniał, że Jagiełło, troskliwy o obmyślenie dla niego losu, wysyła go po godach na podbicie Podlasia, ażeby z tej części Polski mógł mu księztwo utworzyć. A że pomyślność tego przedsięwzięcia najbardziej na utajeniu zależy, prosił, żeby nikomu o tem nie wspominała. Uradowana Aksena, że doszła skrytości, chciała jeszcze wiedzieć, czy Wojdyło będzie do wyprawy należał, zasmuciła ją odpowiedź brata, który zapewniał, że wyraźną jest wolą Jagiełły, żeby w domu pozostał. Tak widząc zniszczone nadzieje popisania się orężem, więcej się zajmować zaczęła przygotowaniem na gody.

Ale opuściwszy na chwilę rzeczy litewskie, idźmy za Heleną, do Polski powracającą.

*) Rohatyna, dzida z toporem na wysokim drzewcu.

(Ciąg dalszy nastąpi).





W zimową noc.

Idźno Wojtek, przynieś drzewa,
Na kominku ogień wznieć.
Wiatr za oknem smutno śpiewa,
A nie prędko będzie dnieć!...

Już po okna z śniegu góra
A wiatr śniegiem, jak dął, dmie.
Na człowieku cierpnie skóra,
Telepoce nawet w śnie.

Mróz na oknach różne kwiaty
Porysował cudnie tak:
Tutaj róże, tam bławaty,
Tam powoje, bzy i mak!

Nigdzie słońca ni promyka,
Wszędzie czarna, zimna noc...
Czas powoli się pomyka
I nie słabnie mrozu moc.

Idźno Wojtek, pal ogniska,
Światło, ciepło w zimie nieć:
Niech oziębłość ludu pryska,
Niech corychlej zacznie dnieć!

Antoni St. Bassara.

Łagodna zima.

Jak poprzednie zimy były w większej części Europy środkowej przeważnie ostre i obfite w opady śnieżne, tak tegoroczna zima była dotychczas tak łagodną, że zdawaćby się mogło, iż jest to początek wczesnej wiosny. Rzadko kiedy pokazał się mróz większy ponad 5 stopni, a za to często ciepło dochodziło nieraz do 10 stopni. Wobec tego wiele drzew i krzewów już w pierwszej połowie stycznia zaczęło puszczać pączki, a w niektórych okolicach zakwitły nawet wczesne kwiatki wiosenne.

Dopiero w sobotę zaczął śnieg pruszyć, a przez noc nasypało go dość, że ten i ów wyciągał sanki, aby przecie choć raz na nich przejechać się do kościoła.

Jakież są powody tych ciepłych okresów w ciągu zimy? Wiadomo, że ciepłota zależy od ciśnienia powietrza. Najmniejsze ciśnienie jest nad Irlandyą, wyspą, położoną od nas w stronie północno-zachodniej, zaś najwyższe ciśnienie nad środkową Azyą, a więc wprost w przeciwnej stronie. Kraj nasz leży niejako w pośrodku tych dwóch pasów. Linie tego ciśnienia nie utrzymują się w jednem miejscu, ale posuwają się w różne strony.

W ostatnich tygodniach zauważono, że linia najniższego ciśnienia zbliżyła się z północnego zachodu ku nam, co spowodowało południowo-wschodnie i zachodnie wiatry, które przynoszą ze sobą od oceanów i mórz, ciepło i wilgoć. Wskutek tego znaleźliśmy się niejako, jakby bliżej morza, w powietrzu ciepłem, wilgotnem i mglistem.

Przeciwnie rzecz się ma, gdy ku nam zbliży się azyatycka linia wysokiego ciśnienia. Wtedy mamy wiatry suche i mroźne.

Badacze opadów i ciepłoty, którzy dokładnie zapisują wysokość tej ostatniej stwierdzili, że w ciągu ostatnich dni przeciętna temperatura w Moskwie, mieście leżącem głęboko w Rosyi, na północny wschód wynosiła 1 stopień mrozu, a w Serajewie, w Bośni, na południe od nas, także blizko stopień mrozu. W tym samym czasie w Berlinie było blizko 4 stopnie ciepła, a takie samo ciepło było również w Budapeszcie. Ciepłomierz w Wiedniu pokazywał $4^1/_2$ stopnia ciepła, w Paryżu 9 w Rzymie blizko 8, a w Neapolu 10 stopni.

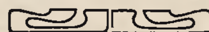
Nigdzie w tym czasie nie zanotowano przeciętnie mrozu większego ponad 3 stopnie.

Łagodna zima panuje więc nietylko u nas, ale prawie w całej Europie.

Jeżeli mówimy o łagodnej tegorocznej zimie, to nie od rzeczy będzie popatrzeć w stare kroniki, aby zobaczyć jakie były zimy w latach dawnych, których my nie pamiętamy. Kroniki te zapisują wiele lat, w których zimy były nadzwyczaj łagodne. N. p. w 1172 r. była tak łagodna zima, że drzewa się rozwijały, a ptaki gnieździły. W 1241 r. drzewa kwitły w zimie, a w maju już jedzono czereśnie. W 1289 r. na Boże Narodzenie dziewczęta stroiły się w świeże fiołki. Zato w 1353 r., pomimo że zimy zupełnie nie było, w czerwcu spadł śnieg na 2 łokcie. W 1413 r. było tak ciepło, że w lutym jedzono świeże porzeczki. W 1493 i 1521 r. w zimie ptaki się wylęgały. W 1537 r. grzmiało na św. Łucyę (13 grudnia), W 1537 r. ogrody i sady pokryły się kwiatami. W 1572 r. w lutym drzewa zazieleniły się zupełnie.

W latach: 1588, 1607, 1609, 1617, 1722, 1780 i 1807 przez całą zimę panowały nadzwyczajne ciepła, a w r. 1659 nie widziano zupełnie śniegu.

Obecna zima, choć bardzo lekka, nie należy jeszcze, jak widzimy, do najlżejszych, a nadto, nie wiedzieć, co dalszy jej ciąg pokaże.





SEJM.

Sejm krajowy obraduje od dziesięciu dni nad budżetem na rok bieżący. Pierwszych pięć dni rozpraw poświęcono dyskusyi ogólnej, w której nie mówi się o tych lub owych wydatkach, tylko wszystkie stronnictwa przez usta wybitniejszych mowców wyrażają swój pogląd na ekonomiczne i polityczne położenie kraju. Tym razem rozprawiano także wiele o położeniu naszem w państwie i o tem, jak zachowuje się wobec rządu wiedeńskiego dzisiejsze Koło polskie.

Sejm pracował pilnie, bo codziennie odbywały się po dwa posiedzenia, dzienne i nocne, każde po sześć godzin trwające. Rusini prowadzili tak zwaną łagodną obstrukcyę, to jest przy każdej sposobności starali się mówić o czem innem, niepotrzebnem, ale to przeszkadzanie na nic się nie przydało.

Pierwszy mowca, Rusin Lewicki, żalił się długo i szeroko, że Sejm za mało daje pieniędzy na potrzeby ruskie, szczególnie na szkoły. Nie powiedział nic nowego, gdyż od lat kilkudziesięciu słyszy się te same skargi, chociaż Polacy starają się zawsze dać Rusinom jak najwięcej mogą. Wiadomo naprzykład, że Rusinów jest mniej w Galicyi niż Polaków, a mimo to mają więcej szkół niż Polacy. Gdyby Rusini więcej sprawiedliwie mówili i nie robili fałszywych zarzutów Polakom, to pożycie byłoby dla obu narodów łatwiejsze i spokój w kraju większy.

Następnie zaczął się szereg mów posłów konserwatywnych, przeważnie wielkich rolników. Poseł Starowiejski wykazał, jak ludowym jest budżet naszego kraju, który większość wydatków przeznacza na drogi, szkoły, rolnictwo i t. p., a zatem na wydatki ludu. Poseł mówił dalej, że należy zmienić system wyborczy do Sejmu, ale równocześnie należy przeprowadzić zmianę reprezentacyi powiatowej i gminnej.

Poseł Garapich, dyrektor krakowskiego towarzystwa ubezpieczeń, znawca spraw finansowych rozprawiał obszernie o poprawie skarbu krajowego, przyczem wiele mówił o potrzebach rolnictwa i włościaństwa.

Poseł Hupka mówił najpierw o sprawie ruskiej i wykazywał, że między Rusinami już przestają rej wodzić ci, co tylko podżegali na Polaków. Wobec tego czas już pomyśleć o przygotowaniu ugody polsko-ruskiej. Potem mówił poseł z wielkim zapałem o polityce Koła polskiego, w którem rządzą narodowi-demokraci i zarzucał, że stronnictwo to nie postępuje poważnie w kraju, ale budzi niepokój, a często obiecuje to, czego dotrzymać nie może. Dalej przemawiał poseł Górski i występował przeciwko tym, co starają się poróżnić ludność miejską z wiejską i przypominał im, jak u nas włościanin nie obejdzie się bez mieszczanina, który owoc jego pracy kupuje, a znowu mieszczanin bez rolnika, który go żywi pracą rąk swoich. — Poseł Halban omawiał położenie gospodarcze kraju i przedstawiał jako sposób do ratowania się z biedy staranie, aby ludność więcej zarabiała, oraz wyszukiwanie nowych źródeł dochodu.

Z mowców opozycyjnych przemawiał poseł ks. Stojałowski, który ze wszystkiego jest niezadowolony, ale nie wymienił, jak należy robić, aby było dobrze. Najsurowiej mówił o konserwatystach, jeszcze gorzej o ludowcach. Najlepiej obszedł się z narodowymi demokratami, z czego wnosić można że jest prawdą, iż teraz do nich przystał.

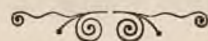
Z wielką uwagą słuchał Sejm, gdy przemawiał prezes Koła polskiego wiedeńskiego, poseł Głąbiński. Prezes to wszystko co mówiono o stronnictwie narodowo-demokratycznem, wziął do siebie. Szczególnie obszernie opowiadał, jak to się stało, że on, prezes Koła polskiego dopuścił do tego, że Rusini milczkiem, w zmowie z Niemcami, przeprowadzili podział rządowych subwencyj hodowlanych, osobno dla Polaków osobno dla Rusinów. Poseł Głąbiński mówił długo, ale ostatecznie nie wyjaśnił, dlaczego Koło polskie nie potrafiło uchronić kraju od tej krzywdy? Drugi wszechpolski poseł, p. Adam, także bronił swego stronnictwa, ale mówił cicho i mało kto go słuchał.

Ze stronnictwa ludowego przemawiało dwóch posłów: pos. Witos i Stapiński. Pierwszy jest skromny, mówi nieśmiało ale rozumnie, więc go słuchają; mówił trochę o potrzebach włościaństwa na roli, ale najszerzej rozwodził się nad szkolnictwem. Bardzo ubolewał nad brakiem oświaty i żądał, aby przyjmowano łatwiej do szkół średnich. — Poseł Stapiński, główny przywódca ludowców, wygłosił wielką mowę, której słuchano z uwagą. Mówiąc o położeniu politycznem, uroczyście oświadczył, że stronnictwo ludowe nie zawarło żadnego tajnego układu z konserwatystami, jak twierdzą wszechpolacy. To twierdzenie, że żadnego sojuszu nie było i nie ma, głośno potwierdzili w Sejmie posłowie konserwatywni, wołając: Tak jest! Dalszą część swej wielkiej mowy poświęcił pos. Stapiński omawianiu polityki Koła polskiego i także twierdził, że robota polityczna wszechpolaków w kraju szkodzi powadze Koła polskiego w Wiedniu. Na końcu mówił poseł ludowy o Banku parcelacyjnym i skarżył się, że byłoby z Bankiem całkiem inaczej, gdyby pisma narodowo-demokratyczne nie pisały o nim nieprawdy.

Z posłów staroruskich przemawiał poseł Korol, który okazał dużo zgodności dla Polaków i poseł Dudykiewicz, który powiadał takie brednie, że Rusini a Rosyanie to jedno i że należy starać się o założenie w Galicyi szkół rosyjskich.

Bardzo wielkie wrażenie nietylko w Sejmie, ale i w całym kraju zrobiła mowa namiestnika Bobrzyńskiego. Najwyższy naczelnik kraju, zastępca cesarski, bronił urzędników, na których napadli niektórzy opozycyjni posłowie, a najbardziej Rusini. Bywają niedomagania w administracyi, mówił namiestnik, bo gdzież ich niema? Ale urzędnicy robią swój obowiązek i robić będą. Trzeba tylko, aby ci, co napadają na nich, wiedzieli na pewno co mówią, a nie występowali z kłamstwami. Najszkodliwsza jest rzecz, podjudzać! A teraz tworzy się jakby spisek Rusinów, Żydów i Niemców na Polaków. Na to, zakończył namiestnik, nigdy nie pozwolę! — Słowa te wywarły bardzo silne wrażenie i oddawna namiestnik nie znalazł w Sejmie tak wielkiego uznania, jak w tej sesyi.

Oto w krótkości przedstawiliśmy najważniejsze chwile z ogólnych rozpraw budżetowych. W poniedziałek zaczęła się na dobre rozprawa szczegółowa, przy której kolejno prowadzi się obrady i uchwala wydatki na różne potrzeby. W tym roku uchwały muszą być przeprowadzone ze szczególną oszczędnością, gdyż stan finansowy kraju jest gorszy niż kiedyindziej, a wydatki większe.



Matka Boska Gromniczna.

Legenda.



Dawno temu, już bardzo dawno, że ani najstarsi ludzie nie pamiętają, a nawet dziady przy kościele zapomniały kiedy to było — panowała u nas okrutna zima. Z końcem stycznia mróz chwycił tak siarczysty, że dranki w płotach, jakby pistolety trzaskały, a ptactwo, które się nie skryło do stajen i sieni, do jednego wyginęło. Okna dniem i nocą stały lodem zamurowane, tak, że bogatsi musieli ogień palić cały dzień, aby izbie światła dodać, a biedniejsi to prawie po ciemku z kąta w kąt się kręcili. Do obór poczęły podchodzić wilki i już Jackowi Walosze zabrały dwa prosięta, u Kaspra Magdy zagryzły jałówkę, u Jaśkowej na końcu zjadły pół krowy.

To były największe i najważniejsze nieszczęścia. Ale były i insze. Na przykład: tamtej nocy u wójta zagryzły parobka, lecz jak powiadali mądrzejsi nie z głodu, ino za karę boską, bo był pijaczysko ogromne. A ręce, nogi i uszy odmrożone, jakby kto poskładał na furę z całej wsi, to by jej i czterema wołami nie uciągnął.

Nie było chaty, żeby tej zimy obeszło się było bez jakiego wypadku. Sąsiedzi powiadali, że tylko jeden Kuba Bzdura, chłop bogaty, uniknął nieszczęścia. Ale, to tylko było gadanie ludzkie bez odrobiny prawdy, jak się to zwykle dzieje, bo i na Bzdurę spadło tej zimy nieszczęście: przyplątał się stary dziad Grzela, z ośmioletnią wnuczką, Marysią.

Przylazło to do chaty Kubowej nim jeszcze mróz całkiem chwycił, a teraz ani kijem wygnać. Stary się rozkwękał a Marysia bez dziadusia, aniby się krokiem nie ruszyła. Grzela miał co prawda i swoją budę, ale ta buda była w drugiej wsi, a w budzie tej nie było ni okien, ni drzwi.

Co to jednak Kubę Bzdurę miało obchodzić, jaką kto ma chałupę. Niech w takiej siedzi, a jak kto nie ma żadnej, niech idzie spać do lasu z zającami. Jeszcze tam przez te dni powszednie, to choć tam Kuba dziada sprzeklinał i kilka razy kopnął, ale mu tak dalece nic nie mówił i nie wyganiał z chaty.

Ale dziś to co inszego. Jutro w sobotę święto uroczyste Matki Boskiej, w niedzielę niedziela, czyli razem dwa święta. Na dwa święta Bzdurzyna upiekła placki jak się patrzy, co by je nietylko organista mógł jeść, ale nawet sam ksiądz proboszcz w swojej poświęcanej osobie.

Tak więc Grzela w samą wilię Matki Boskiej musiał opuścić chatę Kuby.

— Ha, no, powiada, chodź Maryś, kiej nas ludzie odrzucają, to pójdziemy do twej Patronki Najświętszej Maryi Panny, a ona nas przytuli i ogrzeje.

Jak powiedział, tak zrobił, bo musiał, gdyż Kuba byłby się i żarnówki imał. Uszli już kilka stajań, szepcąc pacierze, a mróz coraz bardziej zaczął dokuczać przez łachmany Grzeli i Marysi.

— Dziadku, pytało dziewcze, — a daleko to do tej mojej Patronki?

— To wiesz, jak do której, bo ich jest kilka. Jedna w niebie, a inne na ziemi, to tylko obrazy. Do tej w niebie, to iść trzeba całe życie, a tu na ziemi to przed Bartkowem polem jest obraz Matki Boskiej. Tam sobie spoczniemy i pomodlimy się.

Ale było jeszcze kilkadziesiąt kroków do Bartkowego pola, gdy z wichrem przyleciało przeciągłe wycie, a z oddali poczęły błyskać jakby światełka. Światełka te i owo wycie z każdą chwilą coraz bardziej się zbliżały.

— Co to takiego, dziadulu? — zapytała Marysia cała drżąca.

— Ej nic złego, to wilki — odrzekł dziadek i ukradkiem zrobił krzyżyk drżącą ręką na czole.

— To one nas zjedzą — zaczęło szlochać dziecię.

— E, idź głupia! A czy to dziadowskie mięso takie znowu dobre — pocieszał dziad sam cały drżący ze strachu.

A wycie i światełka coraz bliżej, coraz bliżej.

— Choć, chodź — przekomarzał się dziad — będziesz żarł dziadowskie mięso, ale zanim zeżresz, zęby odmrozisz. A zaczynaj od głowy, bo głowa najstarsza, gdyż pierwsza była na świecie, najwyżej wyrosła i ona jedna rozumna.

Ale i żartów się dziadowi odechciało, gdyż wilki były tuż, tuż... Przestał więc żartować a rozpoczął litanię do Matki Boskiej. Gdy wymawiał słowa: „Matko Chrystusowa", był już przy figurze Matki Boskiej. Oparł swe drżące plecy o słup figury, jedną ręką przytulił do siebie wystraszoną Marysię a drugą podniósł z palicą dziadowską ku górze, ale ciągnął dalej rozpoczętą litanię. Gdy wymawiał: „Pocieszycielko utrapionych", nagła jasność okryła niebiosa a z jasności tej wypłynął obraz Matki Boskiej z gorejącym promieniem a pod obrazem płonąca gromnica.

Dziad gębę z podziwu otworzył, zaprzestając nawet litanii, i nim zdołał przyjść do siebie, obraz pozostał w powietrzu, a gromnica rozprysła się w tysiące gromnic, które kołem otoczyły Grzelę i Marysię. W tej chwili wokoło dziada zrobiło się ciepło i miło, a poza kołem, które tworzyły płonące gromnice, gryzł dalej mróz i szalał wicher.

Wilki zawyły strasznie, a jeden z nich, pewnie wójt wilczy, rzucił się ku gromnicom, porwał jedną z nich i popędził na obejście Kuby Bzdury.

Niedługo okazała się na niebie łuna, to płonął dom i zabudowania Kuby. Kubie było już ciepło a babie nie brakło ognia na placki.

Dziad z Marynią, czując ciepło, usiedli u stóp Bogarodzicy i tak doczekali rana, póki ludzie przejeżdżający drogą, widząc cud oczywisty, nie zabrali ich do chaty.

Odtąd święto to nazywają świętem Matki Boskiej Gromnicznej i odtąd w dzień ten świecą wierni gromnice...

Ale to już dawno temu było!

Antoni St. Bassara.

Na Gromniczną.

(Opowiadanie z życia dzieci w Wielkopolsce)...

— A gdy wilki do wsi się zbliżają, albo i ludzi napadają po polach pustych, tedy Matka Boża Gromniczna odpędza je, ludek swój chroniąc — kończył opowiadanie swoje stary Bartłomiej.

Słuchały go dzieci. Gromadka dzieci licho odzianych, o jasnych głowach i oczach, wracająca do domu ze szkoły.

Był mróz. Śnieg iskrzył się; w popołudniowem słońcu kładły się na przestrzeń równą i daleką smugi czerwonawe. Do domów jeszcze kawałek, stary Bartłomiej opowiada tak ładnie, prędzej czas zejdzie, gdy się posłucha staruszka. I dzieci krok swój stosują do wolnych kroków dziada, nie biją się, nie popychają, nie gonią. Słuchają.

Wśród dzieci jest mały Franek. Franek ma lat 10, gęstą czuprynę, chudą, wątłą postać i jakieś oczy dziwne, zawsze w coś zapatrzone, niby widzące inaczej i co innego niż wszystkie dzieci. Ot i teraz.

— Widzisz tam las czarny? — pyta cichutko dużego, tęgiego Michałka.

— Gdzie? a tobie co? Lasu od lat tu ani kawałka — odpowiada tamten.

— Ale wilki widzisz? — pyta znów Franek i oczy dziecka na czerwonym szlaku zachodzącem słońcem oświeconego pola, dostrzegają ciemne, ruchome punkty.

— Cie go, wilka dojrzał — wybucha śmiechem gromada, i długiem słuchaniem bezwiednie znużona, rada puszcza się na wyścigi ku widnym z dala domostwom.

Franek idzie wolno, sam, po swojemu. Jego myśl pracuje. Zdaje mu się, że oto nagle sam został pod wielkim, wielkim borem, że z boru dochodzi go wycie, a jakaś czerwona twarz, ruda głowa tuż, tuż nad jego głową, zęby szczerzy i grozi.

Franek wzdrygnął się. I nagle ta sama wilcza głowa wydała mu się głową ludzką, puste pole towarzyszami, las stał się murem, wieś, szkoła, dzieci szkolne.

— Pan nauczyciel — o Jezu! — jęknął Franek i obejrzał się.

Nie było nikogo — tylko zimny wiatr zerwał się od zachodu i przejął chłopca dreszczem.

— Co to było — com ja zrobił — myślał, starając się otulić wełnianym szalikiem, czapkę wciągając na uszy. Ale nie zdążył rozwikłać pomięszanych w główinie myśli, gdyż dojrzał dym z komina ojcowej chaty.

Cichy jak zawsze do chaty wszedł, zjadł postawione ziemniaki z mlekiem, skulił się przy piecu i usnął.

A we śnie widział wilka z czerwoną twarzą, pana nauczyciela, co szarpnął go i kazał mówić — mówi i nic zrozumieć nie mógł onej wilczej mowy i czuł jakieś uderzenie bolesne, słyszał własny jęk, aż osłoniła go płaszczem białym jakaś postać śliczna, słodka i było mu dobrze.

To Gromniczna...

Aż go zabrała — na zawsze.

Było to tak: Franek przyniósł do szkoły wraz z niemieckiemi książkami polski elementarz.

— Skąd to masz? — wrzasnął Herr Lehrer, trzęsąc chłopcem.

Cisza. Franek stoi nieporuszony.

— Kto z was wie? — krzyczy Niemiec — niech się tu zgłosi!

Milczenie...

— Ja i tak wiem, miota się nauczyciel, ja ich nauczę, tych tam we dworze — ja ich urządzę.

Franek nie mógł wytrzymać: powiedział ich, to znaczyło państwo. A państwo dobrzy: nieraz słyszał, że tatusiowi wolno na ugór bydło wypędzać, że matuś chodziła do dworskiej apteki, kiedy małą Marysia na gardło ciężko chorowała — sam widział jak starszemu Walkowi panicz pokazywał jak to się gra na skrzypcach, że Walek teraz hej, sławny we wsi całej muzykant. Ale już niechby tam, oni... Tylko, że Frankowi dziwnie ciężko przychodzi zebrać myśli. On czuje, że to jeszcze nie o nich chodzi, nie o panią, pana, ani panicza...

Panienka jest we dworze, taka dobra. Uczy go na elementarzu — bajki opowiada, piosenki śpiewa. Panienka przed oczy stawia mu obrazy, jakich nie widział nigdy. O Jezu! co mówi teraz ten Niemiec?

— Ja ich urządzę — wrzeszczy — a zwłaszcza tę — tę verflucht! Ja was widział wczoraj, jakeście ze dworu szli! Co ona mówi wam? ta? O Polsce? Ha! O powstaniu? O polskich ułanach? Co?

Zadyszany, spocony, trząsł ręką w pięść ściśniętą nad głowami dzieci; od czasu do czasu pięść spadała ciężko na ławkę, podczas gdy druga ręka ciągle ściskała ramię małego chłopca.

Dziecko było jak odmienione. Błyszczały mu oczy, stał prosto, przez co zdawał się wyższy, ręce trzymał zaciśnięte na piersiach, głowa do góry podniesiona wyzywała rzucającego się Niemca.

On nie uważał nic i po chwilowem milczeniu krzyczał dalej.

— No, co? co? gadaj zaraz! czego cię uczy Fräulein?

W ciszę parną przepełnionej klasy padły nagle słowa ciche — lecz mocne.

— Że jeszcze Polska nie zginęła! panie nauczycielu...

Po sali poszedł szmer jakby ostrzeżenia, przychodzącego za późno.

Czy je Franek zrozumiał? Czy też mu nagle sił zbrakło? Czy tylko dotąd walczył ze łzami, bo ręka Niemca ściskała zbyt mocno?

W tej chwili puścił go Herr Lehrer z okrzykiem aha! z którego bił tryumf. A Franek uwolniony na ławkę padł, oczy mgłą zaszły i tylko parę razy powtórzył: „zdradziłem“. Aż buchnął krzykiem co poszedł dzieciom po sercach.

Zrozumiały i one. Franek zdradził „swoją panienkę“.

I już odtąd nie chodził do szkoły. Leżał cichutko na matczynem łóżku — i nie pomagały żadne leki. Wciąż bolała go głowa, zrywał się, coś mówił, śpiewał, śmiał się, nie zgadł nikt, że bolało serce.

Aż przyszedł jeden wieczór. Wieczór przed Gromniczną. Franek jakby się ze snu przebudził i o dzień dzisiejszy pytał — a ujrzawszy starego Bartłomieja, co u drzwi resztki klusek z miski pojadał — prosił o bajkę.

— Wiecie, tę o wilkach, co to je Matka Boska odpędza.

Aż ku końcowi opowiadania słuchać przestał. Znać to było po oczach zapatrzonych w dal, po za ścianę chałupy.

— O Jezu! ginie! wilk rudy zabiera — krzyknął nagle i chude, cieńkie rączki chłopca szukały czegoś niespokojnie na matczynej pierzynie.

Aż nagle musiały oczy dziecka ujrzeć ratunek dla umiłowanego przedmiotu — bo rozjaśniły się dziwnie:

— Gromniczna Panienka pod płaszcz biały wzięła i obroni — mówią usta zbielałe.

* * *

Jest z nami, jest z nami „Gromniczna Panienka“. **M. R.**

Kiedyż?

Kiedyż ach kiedyż, przyjdą takie czasy,
Iże mieszczanin, pan w dworze, chłop w chacie,
Złączą swe dłonie, bez względu na klasy
*W uścisk serdeczny i z tem słowem: **Bracie!***

Kiedyż ta miłość bratnia się roznieci,
We wszystkich sercach polskiego narodu,
I będziem jako jednej matki dzieci
Z wioski, fabryki i z dworu i grodu.

Jedna Ojczyzna nasza Matka święta,
Jedni wrogowie, w życie nasze godzą,
Jedne znosimy niewolnicze pęta,
Czemuż jej dzieci wzajem sobie szkodzą?

Kiedyż, och kiedyż, o polski narodzie,
Walka, niezgoda, w twem łonie ustanie,
Byś żył, pracował w miłości i zgodzie,
Na twej Ojczyzny przyszłe zmartwychwstanie.

Jantek z Bugaja.

Zagadki do nagrody.

1. Szarada.

(nadesłał Franciszek Potempa z B.).

Pierwsze z trzeciem — nie lubią dziewczęta,
Drugie z trzeciem — miewają zwierzęta,
Wszystko razem smacznie zjadacie
I w pańskich dworach i w wiejskiej chacie.

2. Zagadka.

Przyjechała jejmość z zagranicy,
Wtłoczyła się pod dom do piwnicy,
Rozwesela gości w zapusty,
A jesienią dadzą jej kapusty.

* * *

Za dobre rozwiązanie przeznaczamy w nagrodę dwutomową pięknie oprawną powieść J. I. Kraszewskiego p. t.: „Zygmuntowskie czasy“. Nagroda będzie losowana z pomiędzy tych, którzy nadeślą dobre rozwiązanie do dnia 6 lutego b. r. Nagrodę może otrzymać tylko prenumerator. Adres: Kraków, Rynek główny L. 8, Redakcya *Roli*.

* * *

Znaczenie zagadek z Nru 3 *Roli:* 1 szarada: **Karnawał.** 2 zagadka: Biedny zrobi z jednego tysiąc, **gdy dopisze do jednego trzy zera.**

* * *

P. Józef Strug z L. przesyła nam rozwiązania w następującym wierszyku:

Czytelnicy *Roli* nie łamcie se głowy,
Bo to teraz przecie czas karnawałowy!
Przecie Wasze głowy nie są od parady,
Jak nie chcecie tańczyć — dalej do szarady!
Kiedy karnawału będą już ostatki,
By go mile spędzić — dalej do zagadki...
Może jesteś biedny, masz jeden w kieszeni,
Dołóż doń trzy zera, w tysiąc się zamieni:
Będziesz miał pieniądze na wszelką wypłatę
I Redakcyi *Roli* na prenumeratę!

Oprócz tego dobre rozwiązanie w oznaczonym czasie nadesłali PP.: Lilla i Iza Czecz z B., Michał Szymski z D., Jadzia Ogniewska z K., Aldona Januszewska z S., Józef Witkowski z N., Jędrzej Malinowski z Cz., Franciszek Potempa z B., Józef Maślanka z R., Jan Cieśla z B., Józef Wyczesany z W., Władysław Stefański z G., Jan Pokój z J., Adela Bezokówna z K., Władysław Moskal z G., Wojciech Gorczyca z K., J. Śmietana z Ł., Andrzej Postrożny z S. (wierszem), Wojciech Bober z H., Fr, Migdał z S.

P. Jan Ruchlewicz, sekretarz Kółka rolniczego z G. przysłał rozwiązanie wierszem, z którego podajemy wyjątek:

Chcę i ja opisać Redakcyi *Roli*
I szepnąć na ucho, co mnie bardzo boli;
Biedni nasi czytelnicy i ja niezamożny,
Chciałbym dla nich książkę dostać, tak jak pan Postrożny.
Choćby mnie kto nawet chciał wziąść i na kawał,
Znaczenie szarady, to będzie karnawał.
Czy dostanę książkę, to naprawdę nie wiem,
Lecz i na zagadkę, jak umię; odpowiem:
Biedny tysiąc zrobi wtedy bez zasługi,
Gdy do jednego dopisze trzy nule, jedną obok drugiej.

W dowcipny sposób, choć inaczej, rozwiązuje zagadkę i szaradę p. Mikołaj Łabencki z P.:

Dziad z jednego zrobi tysiąc — wesz jest tym przedmiotem.
A kret wstecz się wciąż posuwa — wszyscy wiedzą o tem —
Przez noc całą aż do ranka sypie ziemię w norze.
Ja otrzymam za to książkę. Prawda, Redaktorze?...

Przy losowaniu w nagrodę za dobre rozwiązanie otrzymała p. Adela Bezokówna w K. pięknie oprawne **„Pismo święte“**.

Wzrok ofiary.

VI. Odkrycie.



Prokurator miał właśnie zamiar posłać po Ginerego. Właśnie ukończono wszystko, co było do zrobienia. Zbadał położenie trupa, wysondował ranę i oświadczył sędziemu, że jego zdaniem, zbrodnię popełnił zawodowy przestępca. Tylko ktoś z „fachu“ mógł zadać cios tak pewny.

— Możnaby sądzić, że to rzeźnik!

— Bezwątpienia — odparł Ginery. — Na pewno jednak tego twierdzić nie można. — Siła może w pewnych przypadkach oddać te same usługi, co zręczność.

Sędzia czuł po rozmowie z ajentem większe wzruszenie, niż by można było przypuszczać. — Sam przed soba niechętnie by się do tego przyznał. Stojąc teraz przed trupem patrzył nie na ranę. o której mówił prokurator, lecz w oczy, w te nieruchome oczy, które jeszcze nie zaćmiły się, otwarte szeroko, groźne, przerażone, wołające o pomstę. Zdawało się, że chcą kogoś zdruzgotać spojrzeniem, groziły komuś!

Komu?

— A gdyby ten człowiek — choćby tylko cieniem — odbił się w tem małem czarnem źwierciadełku w głębi oka? Gdyby jego twarz była tam jeszcze teraz widzialną? Myśl Bernadeta zaczęła dręczyć już sędziego.

Myślał o tem, patrząc w oczy trupa, wymowne, — wołające o pomstę, — straszliwe. Jakże wymownym, jak strasznym świadkiem byłby ten trup, gdyby oko jego przemówiło.

— Zobaczyliśmy już — odezwał się teraz prokurator — wszystko, co trzeba było wsadzić do protokołu. Czy nie tak?

— Naturalnie — odparł sędzia.

Umówiono się też, że trup będzie najrychlej, jak tylko możliwe, przywieziony do kostnicy. Dopiero tam można będzie pomyśleć o porządnem zbadaniu.

Żona Monisza, słysząc słowo „kostnica“ podniosła raz jeszcze ręce do góry, na znak przestrachu. Wyraz ten, równie jak „szpital“, przeraża zawsze jeszcze ludzi. A przecież szpital zwłaszcza jest dobrodziejstwem i ratunkiem dla nędzy ludzkiej.

Pozostawało jeszcze tylko przesłuchać sąsiadów i wyrysować, w jakiem położeniu znaleziono zwłoki zamordowanego i jak wyglądał pokój po morderstwie.

Moje fotografie wystarczą. Nie potrzeba rysować — rzekł Bernadet.

Posłano po wóz, który miał przewieść trupa do kostnicy. Obecni zabierali się do wyjścia. Komisarz postawił jeszcze policyantów koło domu, który ściągał coraz to większą liczbę ciekawych. Tłum opasywał wejście; taką ciekawość budziła zbrodnia.

Przed odejściem zapytał Bernadet sędziego, czy pozwoli mu jeszcze kiedyś pomówić o fotografii oka? Sędzia Ginery nie dał odpowiedzi wprost, lecz oświadczył, że przybędzie na sekcyę zwłok. Gdyby sędzia się nie wahał, odpowiedź wypadłaby niezawodnie inaczej! Bo i czemuż ten policyant mięszał się do śledztwa, czemu usiłował wywrzeć wpływ na jego przebieg? — Gdyby nie zdumiewający pomysł tego człowieka, interesujący sędziego, Bernadet byłby dawno odesłany do swojej właściwej roboty. Zresztą sędzia znał działalność tego dziwnego człowieka. Bernadet uchodził w policyi za bardzo wzorowego urzędnika, a u dziennikarzy za sprytnego niezmiernie ajenta.

* * *

Bernadet był teraz wolny. Dopóki trupa nie przeniesiono do kostnicy, sprawa dla niego spoczywała w zawieszeniu. Gdy tylko urzędnicy odjechali, opuścił dom gdzie popełniono morderstwo.

— Dokąd pan idzie? — spytał go jeden z dziennikarzy Paweł Roder.

— Do domu, mam stąd tylko dwa kroki.

— Czy mogę panu towarzyszyć?

— Chciałbyś pan wyciągnąć co ze mnie? Nie wiem nic, nie zdradzę nic i nie powiem ani słowa.

— Jak pan sądzisz, czy to zemsta, czy też morderstwo dla rabunku?

— Jestem przekonany, że nie dla rabunku. W mieszkaniu niczego nie tknięto. Ale w końcu, kto może wiedzieć?...



(Posłano po wóz, który miał przewieść trupa do kostnicy..)

— Ej panie Bernadet, — mruknął z uśmiechem dziennikarz, krocząc obok policyanta. — Pan nie chcesz zatem nic powiedzieć?

— Cóż to szkodzi? Przecież pan i tak napisze, że mówiłem! — odparł śmiejąc się, Bernadet.

— Tak pan sądzisz? A zatem do widzenia. Muszę pójść pisać. A pan?

— Fotografować!

Rozeszli się i Bernadet wkroczył za chwilę w progi domowego ogniska. Znalazł ogólną żałobę. Zwłaszcza córeczki były niesłychanie przygnębione, że ojciec opuścił je w dniu swych własnych urodzin, mimo że obiecał zaprowadzić je do teatru. To też wejście jego wywołało niesłychaną radość i skoki.

— Tatuś! tatuś! wrócił!

— Pani Bernadet również nie posiadała się z radości. Jeszcze był czas pójść do teatru... Ale dzień chylił się do kresu, nadchodziła noc, Bernadet powiedział, że musi dziś jeszcze pracować, dużo pracować.

— Nawet w urodziny? Ależ dzisiaj twoje urodziny! Mógłbyś choć dzisiaj odpocząć nieco!

— Przy jedzeniu, duszko, przy jedzeniu. Przedtem jednak muszę przeczytać jeszcze całą kupę papierów.

— Więc potrzebujesz lampy?

— Tak, duszko. Przynieś ją zaraz.

Koło sypialni wynalazł sobie ajent mały pokoik zapełniony pismami i książkami, z małym stołem, na którym stał prosty przyrząd do pisania. Szczupły ten kącik był pracownią Bernadeta. Tam pisał, czytał, robił notatki i wyciągi z dzienników. Nikomu nie wolno było wchodzić tutaj.

Pani Bernadetowa była w rozpaczy, że taki piękny dzień zejdzie na niczem, jak się wyrażała. Wiadomo jej wszakże było, iż wszelkie uwagi miałyby skutek grochu, rzucanego na ścianę. Mąż zresztą nie słyszałby nawet jej uwag, zatopiony w pracy Daremnie dziewczęta upominały się przyobiecany teatr. Otrzymały dobrze znaną odpowiedź:

— Ojciec pracuje.

Bernadet nie spodziewał się, znaleźć w dawniej czytanych pismach i książkach wyjaśnienia swych wątpliwości, potwierdzenia tego, w co sam niezupełnie jeszcze wierzył. Dlatego też nie odzyskał spokoju, póki nie zamknęły się za nim drzwi pokoju, gdzie stosy książek i papierów oczekiwały, aż się niemi zajmie. Bernadet znał dobrze swoje zbiory. Nie wahając się i nie namyślając długo, wyciągnął z pod stołu szary zeszyt, w którym tyle razy wczytywał się w rozprawę o zastosowaniu fotografii do wykrywania zbrodni.

Siadł, nie tracąc ani chwili, przejrzał szybko zeszyt i zaczął porównywać cyfry z fotografiami, w których uczeni nic się nie dopatrzyli.

— Albo też nie chcieli się niczego dopatrzeć! — mruknął Bernadet.



Przysunąwszy sobie lampę zaczął wodzić szkłem powiększającem po starej fotografii. Wyciągał na światło dzienne starą, zapomnianą sprawę, myślał nad kwestyą, którą badał już tyle razy, a którą chciał zgłębić raz jeszcze nim spotka się z Ginorym w kostnicy, przy trupie Rowera.

Wziął do ręki zeszyt i czytał:

„Fotografię niniejszą przysłał Dr. Burion, dawny asystent szpitala, Stowarzyszeniu medycyny sądowej. Fotografia ta zdjęta z soczewki kobiety, zamordowanej d. 14 czerwca 1868 r., przedstawia chwilę kiedy zbrodniarz, zabiwszy matkę, morduje dziecko, zaś pies podwórzowy spieszy na pomoc nieszczęsnej ofierze“.

Bernadet obejrzał raz jeszcze fotografię i rozmyślał:

— Mord zaszedł w niedzielę, między godziną dwunastą, a czwartę popołudniu. Oczy wyjęto z oprawy dopiero trzeciego dnia, około dziesiątej zrana. Ostatnia próba z oczyma Rowera miałaby przeto o wiele korzystniejsze widoki, bo przedsiębranoby ją o dwadzieścia cztery godzin wcześniej. Gdyby się udało otrzymać obraz, to byłby on o wiele wyraźniejszy, aniżeli Dra Buriona. Wówczas bowiem zdjęcia dokonano dopiero o szóstej wieczorem, na trzeci dzień po zbrodni.

— O szóstej wieczorem — myślał dalej Bernadet. — O szóstej wieczorem? Czy światło o tej porze było dostateczne do dobrego zdjęcia fotograficznego? Dr. Burion posłużył się przy swej operacyi obu parami oczu, matki i dziecka. „Oczy dziecka — pisał w swym dziele — dały tylko obraz chmur. Spodziewałem się tego. Ale z oczyma matki było zupełnie inaczej. Po oddaleniu ciałek szklistych ukazał się w lewem oku obraz, prawie nie widoczny: g ł o w a p s a. Ta sama manipulacya, przedsięwzięta na prawem oku wydała zupełnie inny rezultat. Obraz zatrzymany na siatkówce ukazał się dokładnie. Można było widzieć z b r o d n i a r z a, z p o d n i e s i o n ą d o c i o s u r ę k ą i p s a, który skaka na pomoc.

To znaczy, że można było zobaczyć, przy dobrych chęciach — dodał w duchu Bernadet, patrząc jeszcze raz na fotografię. — Ale Dr. Burion zrobił fotografię w 50 godzin po morderstwie, to też nasza próba ma znacznie lepsze widoki.

Inni lekarze robili szereg prób, aby stwierdzić, czy jest prawda to, co zobaczył Dr. Burion. Próby robiono na zwierzętach. Doktor natychmiast, skoro tylko śmierć nastąpiła, wyjmował oczy i fotografował je bezwłocznie.

Inny doktor otruł kota, a przed zdechnięciem trzymał przed nim grubą klatkę. Sfotografowano oko po zdechnięciu, ale nie było widać nic na oku.

Inny znów trzymał psu przed powieszeniem kilka błyszczących kluczy. Po zdechnięciu, w oku nic nie widziano na fotografii.

Pewnemu psu trzymano długo zegarek, a potem uduszono go. Fotografia oka nie posiadała żadnego obrazu.

Takich doświadczeń zrobiono kilkanaście, ale nie pokazało się na oku nic i nic... Bernadeta to zmartwiło, ale pracował dalej i czytał.

Bernadet przeczytał bardzo uważnie raz jeszcze sprawozdanie innego uczonego Dra Wernisa i zaczął zastanawiać się nad dwunastu doświadczeniami, które Dr. Wernis przedłożył Towarzystwu medycyny sądowej. Doświadczenia te opisane tam były bardzo obszernie, a wynikało z nich, że obraz ostatni, który widzi oko, umierającego człowieka, zostaje tam przez k r ó t k ą c h w i l ę t y l k o. Jeżeli w przeciągu tej krótkiej chwili zrobi się fotografię tego oka, to się otrzyma obrazek na oku i można go zachować jako dowód sądowy.

— A zatem może ja fotografowałem oko Rowera w chwili, gdy tam obraz mordercy jeszcze był! Daj Boże!

Tak powiedział sobie głośny Bernadet, wstaje o trzeciej rano od stołu, zmęczony pracą. Poszedł więc spać, zmówiwszy modlitwy wieczorne jako człowiek nabożny postanawiając wstać z łóżka o 8 rano, aby zająć się dokończeniem fotografii.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRONIKA.

Ksiądz Maksymilian saski, brat króla saskiego, profesor teologii uniwersytetu we Fryburgu, słynny i uczony kapłan, bawi we Lwowie u ks. arcybiskupa ruskiego. Ma on wygłosić we Lwowie kilka wykładów o kościele grecko-katolickim i ormiańskim.

Kometa nad Krakowem. We wtorek od godziny kwadrans na 6 wieczorem do godziny trzy kwadranse na 6 widzieć było można gołem okiem wyraźnie znacznej wielkości kometę w stronie południowo-zachodniej miasta. Kometa posuwał się na dół, mając warkocz zwrócony ku górze. Po trzech kwadransach na 6 skrył się za mgły i chmury. Uczeni obliczają, że błąkać się on będzie po naszem niebie do końca bieżącego miesiąca. Odkryło go dnia 16 b. m. obserwatoryum w Johannesbergu w Afryce południowej i nazwało w swoich księgach „1910". Na maj, jak pisaliśmy, zapowiedziany jest niezwykle wielki kometa, nazwany imieniem Halleya od uczonego, który pierwszy przepowiedział pojawienie się tej ogoniastej gwiazdy. Zanim tamtą zobaczymy, warto ujrzeć i tego kometę, co przy pogodnem niebie jest możliwe.

Sprawa katowicka. Tak samo jak w parlamencie niemieckim (patrz Nr. 4 *Roli*) i w sejmie pruskim obradowano nad interpelacyą w znanej sprawie katowickiej. Pierwszy zabrał głos poseł katolicki Porsch. Zaczął od tego, że to, co dziś spotyka w Katowicach Polaków, jutro zdarzyć się może każdej innej partyi. Ze szkół usunięto nawet krucyfiksy. Walka rządu toczyła się tam nie na gruncie politycznym, lecz narodowościowym i wyznaniowym. Prowadzili ją także nauczyciele w szkołach średnich. Po zrzeczeniu się głosu przez Jażdżewskiego. wstąpił na trybunę sam kanclerz v. Bethmann-Hollweg, który napada na agitacyę wszechpolską na Śląsku i oświadczył, że wystąpienie ukaranych urzędników „nie dało się pogodzić z ich urzędowemi obowiązkami". Zresztą urzędnicy nie byli właściwie ukarani, tylko w „interesie służby" przenoszeni... Rząd powiadał kanclerz ma prawo tak postępować i dalej postępować będzie tą samą drogą. „Na Śląsku każdy urzędnik powinien wiedzieć, że nie wolno mu głosować na żadnego kandydata polskiego". Kanclerz przypomina zasługi ks. Bülowa w zakresie polityki względem Polaków, tę politykę muszą podzielać urzędnicy. Gdyby rząd inaczej postępował, nie byłoby spokoju w Poznańskiem. Przemówienie to oklaskiwane było przez konserwatystów i narodowo-liberalnych, wśród katolików i Polaków słychać było głośne protesty.

Nieme wiece polskie. W krajach nadreńskich na zachodzie Niemiec, blisko granicy pruskiej, mieszka blisko pół miliona Polaków, robotników w tamtejszych kopalniach, fabrykach i hutach. Zorganizowani są dobrze, oświeceni, bo pochodzą z Wielkopolski, to też nie dają się zniemczyć, strzegą religii świętej i języka jako największego dobra. Posiadają dużo gazetek, towarzystw, czytelń, kas pożyczkowych i innych stowarzyszeń. Od czasu do czasu odbywają zebrania większe, wiece, na których gromadzą się nietylko członkowie stowarzyszenia jednego, ale setki Polaków z różnych miejscowości.

Wiece takie były od dawna solą w oku policyi pruskiej, która starała się przeszkadzać im, ile tylko sił i konceptu złego starczyło. Wreszcie skorzystała z nowego prawa o stowarzyszeniach i ogłosiła, że wolno przemawiać na wiecach tylko po niemiecku, nibyto dlatego, że urzędnicy i policyanci nie umieją po polsku i nie mogą się przekonać, czy przypadkiem Polacy nie gadają co złego podczas wiecowania?

Wtedy zakłopotali się Polacy, co robić? Obradować po niemiecku, wstyd i hańba. Znaczyłoby to tyle, co na rozkaz policyi prusackiej zaprzeć się języka swoich ojców i dziadów. Nie wiecować nie można, bo każde takie zebranie podnosi ducha i oświeca młodszych. Rada w radę, postanowili nic nie mówić, a przecie uchwalać. Jakże to zrobili?



Oto zbierają się wszyscy, wychodzi jeden (umówiony przedtem) poważny robotnik polski na podniesienie: inni biją oklaski. Znaczy to, że wybrali go na przewodniczącego. Potem przewodniczący pokazuje na drugiego palcem, ten wychodzi i wypisuje na tablicy rezolucyę. Wszyscy biją oklaski znowu. Znaczy to, że uchwalono pierwszą rezolucyę. Potem kolejno idzie tak ze wszystkiemi innemi rezolucyami. Policyanci stoją, patrzą, gniewają się, ale nic zrobić nie mogą, bo to wszystko prawem jest dozwolone.

Dają sobie nasi radę pod Prusakiem, ale ciężko to jest, nie módz nawet obradować swobodnie w państwie konstytucyjnem. Przyjdzie kiedyś kara na Prusaków, za te krzywdy polskie!

Ostrożnie na przejazdach kolejowych! Straszny wypadek kolejowy zdarzył się w nocy 21 b. m. niedaleko stacyi w Czarnej, między Tarnowem a Dębicą. Na wóz, przejeżdżający przez tor kolejowy, którym jechało czworo ludzi, całą siłą pary wpadł pociąg błyskawiczny. Wóz został roztrzaskany w kawałki, a wszystkie jadące w nim osoby odniosły śmiertelne zranienia. Woźnica zmarł w drodze do szpitala, a mężczyzna i kobieta z dzieckiem, jadący wozem, zmarli w szpitalu tarnowskim, dokąd ich przewieziono. Powodem nieszczęścia ma być niezamknięcie szlabana podczas przejazdu pociągu.

Katastrofa kolejowa. Dnia 20 stycznia na stacyi Chełmek, na linii kolei Północnej zderzyły się dwa pociągi towarowe. Jednemu konduktorowi złamało nogę i poraniło go ciężko w głowę. Chorego odwieziono do szpitala św. Łazarza w Krakowie.

Pożar trumien. Przed kilku dniami w składzie trumien, przy ulicy Kochanowskiego we Lwowie wybuchł groźny pożar, który zniszczył około 60 trumien i 4 katafalki. Przybyła straż pożarna ugasiła ogień, ale i tak szkoda dochodzi do kilku tysięcy koron. Pomimo, że się trumny spaliły, śmierć, jak zabierała ludzi przedtem, tak i teraz zabiera. Ona ma zawsze robotę, a w czasach obecnych, chyba ona jedyna nie narzeka na brak pracy.

Piorun podczas śnieżycy. W Jedliczu 14 b. m. w samo południe zerwała się silna śnieżyca, ściemniło się nagle i z oślepiającym błyskiem uderzył piorun w pola, niedaleko fabryki nafty w Borku. Zimowy piorun różnił się jednak od letniego, gdyż błysk jego był jasno-zielono-żółty, a huk głuchy, bez grzmotu, podobny do trzasku.

Śmierć w rzece. Rzeźnik Wandel niedaleko Wiednia jechał z chłopakiem na targ i wiózł mięso do miasta. Po drodze przeprawiał się przez rzekę March i musieli wjechać wraz z wózkiem przez rzekę na prom.



Wielki galar już dojechał na drugą stronę przewozu, gdy konie się zlękły czegoś co stało na brzegu, szarpnęły silnie wtył wózkiem, który tylnemi kołami złamał założoną tyczkę i runął do mroźnej wody. Chłopak wyskoczył w ostatniej chwili na prom, ale ciężki rzeźnik, który furmanił, wpadł z wozem i końmi do wody i tam zginął wraz ze swoim dobytkiem.

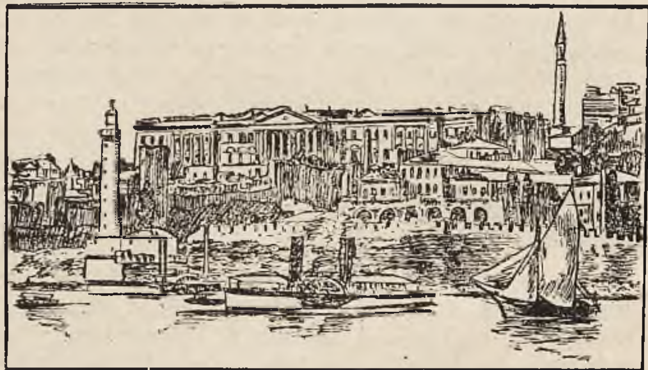
Poszukiwanie mordercy. We wsi Bogusławicach w Poznańskiem, w nocy z 18 na 19 października 1909 r., dokonano mordu w domu włościanina Stanisława Wasilewskiego. Złoczyńca w nocy wtargnął do mieszkania w celach rabunkowych i wymordował całą rodzinę Wasilewskiego, złożoną z ośmiu osób i zdołał zbiedz bezkarnie. Podejrzenia skierowały się na niejakiego Michała Kuścińskiego, który w towarzystwie wyrobnicy Anny Łukowicz, pod przybranem nazwiskiem Maleka, ukrywał się w Galicyi, a obecnie zbiegł znowu do Prus. Sędzia śledczy w Pleszewie rozpisał za zbiegłym mordercą listy gończe, podając jego dokładny rysopis. Za schwytanie lub umożliwienie schwytania Kuścińskiego czyli Maleka, policya pruska wyznaczyła 5000 marek nagrody.

Dziewczyna parobkiem. Policya tarnowska aresztowała w tych dniach Władysława Zycha, parobka, który służył w Tarnowie od lat sześciu. Zych, będąc na służbie u niejakiego Fidora, namówił go do wyjazdu do Ameryki, skutkiem czego zrozpaczona żona oskarżyła parobczaka przed policyą o to, że jej męża oczarował. Zycha zaprowadzono do lekarza i przy bliższych oględzinach okazało się, że jestto 18-letnia dziewczyna, która od dłuższego czasu ukrywała się pod przebraniem męskiem. Zabawny jest fakt, że Zychówna zalecała się do dziewcząt i wyłudzała od nich pieniądze, a żadna się na przebraniu nie poznała.

Zabójstwo. W Hermanowej koło Rzeszowa leśny z Przylasku, nazwiskiem Zięba, zastrzelił włościanina Dziopaka. Powodem zabójstwa był spór między Dziopakiem a Ziębą o kradzież leśną. Nabój trafił nieszczęśliwego w brzuch, a lekarze, którzy przeprowadzali sekcyę, powiadają, że kiszki były podziurawione, jak rzeszoto.

Walka na pięści pomiędzy świadkami. W wiedeńskim sądzie stawało trzech oskarżonych czeladników o kradzież: Jan Halbauer, Karol Mader, i Karol Steinbauer. Gdy już trybunał sądowy miał udać się na naradę celem wydania wyroku, zgłosił się brat Jana Halbauera, Michał, i chciał udowodnić, że Jan w kradzieży udziału nie brał. Na to oświadczył inny świadek, Mayer, że Jan jest winny. Słowa Mayera potwierdził kupiec Töröky. Wtedy Michał Halbauer zwrócił się przeciw niemu i wymierzył mu ciężki cios pomiędzy oczy. Woźny sądowy na krzyk kupca rzucił się ku Halbauerowi, ubezwładnił go, a sędzia spisał natychmiast protokół. Zakrwawionego Töröky'ego opatrzył lekarz sądowy. Wszyscy trzej oskarżeni otrzymali należną karę, a napastnik zamiast obronić brata, sam naraził się na grube nieprzyjemności.

Pożar parlamentu tureckiego. W przeszłym tygodniu spalił się w Konstantynopolu olbrzymi pałac Cziragan nad cieśniną morską Bosforem położony. Tam obradował od dwóch lat młody parlament turecki. Był to gmach wspaniały, mieszczący bardzo cenne przedmioty, oraz archiwum państwowe. Wielkie sale, których było kilkaset, zdobione były kosztownemi marmurami, obrazami i dywanami jedwabnemi. Niegdyś mieszkali tu sułtanowie tureccy, później przenieśli się do innego pałacu, w którym dziś mieszkają, zwanego Ildis. Cziragan został tak samo wspaniale jak był urządzony i nic nie zmieniono. Przed dwoma laty zaczął tu obradować, po ogłoszeniu konstytucyi, parlament turecki, rządzony przez Młodoturków, czyli postępowców, co oburzyło bardzo Staroturków, w których przekonaniu pałac jest miejscem poświęconem, skoro zamieszkiwał go niegdyś naczelnik wiary muzułmańskiej. Pałac ten spłonął obecnie do szczętu, a szkody dochodzą do siedmdziesięciu milionów koron.



Przez pierwsze dni, nie wiedziano wcale, skąd wziął się ogień. Przypuszczano, że coś było złego w kominach i że od gorąca zajęły się belki. Potem wyszło na jaw, że ogień musieli podłożyć jacyś podpalacze. W ostatnich dniach zaś okazało się, że sprawcą jest, jak się zdaje, dawny sułtan Abdul Hamid, którego Młodoturcy niespełna przed rokiem zrzucili z tronu. Odebrawszy mu panowanie, przewieźli do Saloniki i pilnują, aby nie wychodził ze swego pałacu. On jednak, jak się zdaje, wynalazł jakichś podpalaczy, którzy podżegli ogień. Staroturcy opowiadają, że niedawny ich sułtan spalił pałac, ale że jest to kara Allaha za bezbożność Młodoturków.

Na naszym obrazku przedstawiona jest wyraźnie najpiękniejsza strona pałacu, od morza. Na froncie stoją parowce i łodzie w porcie, na lewo z przodu widać wysoką latarnię morską, w której się świeci nocami. Na prawo, z tyłu, wysoka spiczasta wieża jakiegoś meczetu, kościoła mahometańskiego, z której szczytu kapłan muzułmański, zwany muezin, nawołuje co wieczór do modlitwy.

Walka ze złodziejami. W ubiegłym tygodniu przy ulicy Halickiej we Lwowie przyszło do krwawej awantury. Służąca z restauracyi Tomickiego, Katarzyna Gabalewiczówna, w zamkniętym już lokalu zobaczyła światło. Narobiła hałasu i przywołała policyanta. Ten wszedłszy, zobaczył trzech obcych ludzi, którzy najpierw podali się za lokajów, służących w tym domu, lecz następnie postawili się ostro. Jeden z nożem, drugi z rewolwerem, rzucili się na policyanta. Dali cztery strzały i ranili go w lewą rękę. Policyant dobył szabli, ciął jednego z nich i ten upadł na ziemię. Policyant pobiegł za dwoma innymi, którzy tymczasem zbiegli, ale zraniony nie mógł im nadążyć. Wrócił więc na ulicę Halicką do rannego, ale i ten już znikł bez śladu. Policya jednak zrobiła natychmiast obławę i aresztowała tych dwóch którzy uciekli. Byli to dwaj znani złodzieje Kuźmiński i Ulrich. Za owym ranionym wdrożono poszukiwania. Mało który złodziej uchodzi bezkarnie, a i tak złodziejów nie brak.

Szczególne „szczęście" na polowaniu. W komitacie (powiecie) oedenburgskim na Węgrzech, wybrał się pewien kłusownik z kilku towarzyszami na polowanie, obrał sobie stanowisko na obszernej łące i czekał na zwierzynę. Nagle wypadły dwa ogromne zwierzęta. Kłusownik pozwolił im się zbliżyć i wymierzył w większe z nich. Padł strzał, a powietrze przeszył przeraźliwy ryk. Zbiegli się towarzysze i zobaczyli sztukę ważącą około 400 do 500 kilogramów. Gdy jednak kłusownik przypatrzył się lepiej poranionemu zwierzęciu, poznał z przerażeniem, że był to jego własny wół. Z trudem przeniesiono wołu do domu i posłano po weterynarza. Ot, niebaczny człowiek, chciał zapolować na cudze, a zabił swoje. Tak to często Bóg karze za kradzież.

Koło młyńskie zabiło dwóch ludzi niedaleko Wenecyi we Włoszech. Sześciu ludzi przeprawiało się na łódce przez rzekę. Na nieszczęście silny prąd wody uniósł ich w dół rzeki pod wielki młyn. Łódka zderzyła się z kołem młyńskiem i przewróciła się tak, że robotnicy wpadli do wody.



Dwaj z nich zostali porwani przez koło młyńskie i wisieli na niem przez trzy obroty. Gdy koło zatrzymano, obaj robotnicy byli bez życia, strasznie pogruchotani. Czterej inni robotnicy zdołali się uratować.

Łowy na wilki. W głębokiej Rosyi jest zwyczaj łowienia wilków żywcem w taki sposób: W śnieżne dni, w ponowę, wyrusza kilku myśliwych na koniach, biorąc ze sobą charty co najszybsze i najsilniejsze. Gdy zobaczą świeże ślady wilka, jadą za niemi, aż gdzieś wilka ujrzą. Wtedy spuszczają psy z powroza, te pędzą za zwierzem i schwyciwszy nie puszczają. Jeden z myśliwych przypada i zeskakuje z konia, który jest tak wyuczony, że nie ucieka.



Łowiec rzuca się na trzymanego przez charty wilka, chwyta za uszy i siada nań okrakiem, całym ciężarem przygniatając do ziemi. Drugi w otwartą z wściekłości paszczę dzikiego zwierza wkłada krótki, gruby kawałek drzewa (knebel), przez co już ukąsić nikogo nie może. Wtedy wiążą obaj zwierzę i przywiązawszy do siodła, wiozą do domu. Naturalnie do takiego polowania potrzeba ludzi bardzo silnych i śmiałych, a zręcznych. Lada nieostrożne chwycenie rozszalałego ze złości wilka, może człowieka pozbawić ręki. Są ludzie dzielni, co się kochają w niebezpieczeństwach.

Trzęsienie ziemi na północy jest rzeczą rzadką. Dnia 17 b. m., w Haparandzie, w Szwecyi, dało się odczuć dość silne trzęsienie ziemi, trwające 30 sekund. Trzęsieniu podlegają najbardziej okolice południowe, n. p. Włochy.

Pijak cały świat poruszył. Tyle hałasu ubiegłego roku narobił podróżnik Cook twierdzeniem, że odkrył biegun północny. Jak obecnie się okazuje, Cook jest pijakiem, a opowiadania jego o odkryciu bieguna były chorobliwym wymysłem. Wskutek pijaństwa zdrowie Cooka jest zrujnowane, a on sam leży podobno w szpitalu pod Heidelbergiem w Niemczech. Jakto wódka nigdy do niczego dobrego nie doprowadzi.

Czeka go jeszcze proces przed sądami amerykańskimi. Różni wydawcy gazet i książek pozamawiali u niego opisy, jak biegun odkrył, a na zadatek dali mu wiele tysięcy dolarów. Teraz, gdy się pokazało, że bieguna opisać nie może, skoro go nie widział, wnieśli skargę o oszustwo i może go sąd wsadzi do kryminału.

Pociąg powietrzny. W Niemczech zbudowano ogromny balon systemu Zeppelina, który będzie przewoził podróżnych z Kolonii przez Niemcy i przez morze, do Anglii. Balon będzie miał 300 metrów długości, a w jego łódce znajdzie pomieszczenie naraz 300 osób. Będzie to zatem prawdziwy wagon, tak olbrzymi, że pomieści osoby z całego pociągu.

Ojciec odgryzł córce nos. Na przedmieściu miasta Lipska w Niemczech, robotnik Horanek rozpoczął z żoną bójkę i chciał ją przebić nożem. Na pomoc matce pospieszyła 17-letnia córka. Rozjuszony ojciec w bójce odgryzł dziewczynie kawał nosa. Ciężko ranną matkę i córkę odwieziono do szpitala, ojca aresztowano. Człowiek niejeden gorszy jest od zwierzęcia.

Zamach obłąkanego w kościele. W miejscowości Gianico, we Włoszech, gdy proboszcz tamtejszy ks. Ostelli, w towarzystwie ks. wikarego odprawiał mszę św., jakiś mężczyzna z pośród gromady nabożnych strzałami z rewolweru zranił obu księży. W kościele powstał popłoch, a tylko kilku odważniejszych rzuciło się na sprawcę i ubezwładniło go. Wkrótce przekonano się, że był to człowiek obłąkany, umieszczono go więc w szpitalu dla umysłowo chorych.

Powodzie we Francyi. Telegrafują z Francyi, że kraj ten nawiedziły ogromne powodzie, wskutek czego połączenia kolejowe i telegraficzne zostały poprzerywane. Niektóre okolice całe stoją pod wodą, to też szkody olbrzymie.

Wielka powódź nawiedziła także stolicę Francyi, Paryż. Rzeka Sekwana wystąpiła z murowanych brzegów i zalała części miasta. Szkody są ogromne, na setki milionów. Rzeki doskonale regulowane, tak jak są we Francyi, prawie nigdy nie wylewają, ale gdy się już raz wydarzy, to robią spustoszenia stokroć większe od rzek nieregulowanych, jakie my mamy.

Małpa w sądzie. W Nowym Jorku oskarżona była jakaś pani o złośliwość dla sąsiadki. Jej adwokat tak gorąco przemawiał i chwalił jej łagodność, że podczas mowy poklepał ją po ramieniu, na którem miała czarną, grubą chustkę.



W tej chwili podniósł się straszny pisk i z pod chustki wyskoczyła mała małpka, którą adwokat uderzył niechcący i tem przestraszył. Zwierzątko zaczęło skakać z osoby na osobę, nie uszanowało nawet policyanta, któremu zdarło czako z głowy. Uspokoiło się dopiero na kapeluszu sąsiadki oskarżonej, znalazłszy tam jako ozdobę czerwone kulki, naśladujące wiśnie. Małpa zaczęła zrywać te wiśnie i na wszystkie strony rzucać na całą salę. Gdy zerwała wszystkie, już nie w złości ale z figlów, skoczyła przewodniczącemu sędziemu na łysinę. Stąd ją dopiero odebrała właścicielka i schowała pod chustkę. Skończyło się tem, że wszyscy w sali zaczęli się śmiać, choć przedtem się zlękli. Tak to prawujące się sąsiadki pogodziły się za sprawą małpy.

O smutnej doli robotników polskich donosi prasa amerykańsko-polska z miasteczka Ludlow, gdzie zarząd jednej z fabryk tamtejszych wyrzuca z pomieszkań strejkujących robotników polskich. Obozują oni z rodzinami około 4000 głów na placach publicznych, pod gołem niebem pomimo zimy. Fabryka owa zatrudnia około 3.000 robotników i wyrabia wory, powrozy, sznury i przędzę do dywanów. Ażeby mieć tanich robotników, postarano się o Polaków, których pracuje w fabryce przeszło 2.000. Ale z czasem i ci tani robotnicy okazali się zanadto drogimi, chociaż fabryka idzie świetnie. Zarząd fabryki wziął się na sposób. Starał się sprowadzić jak najwięcej robotników, a wobec nadmiaru rąk do pracy obniżył zarobki. W tym celu — pisze korespondent *Zgody*, wychodzącej w Chicago — fabrykanci wydali broszurę w języku polskim, opisując raj ziemski, jakim miało być owe Ludlow. Broszurki rozdawano robotnikom we fabryce, z prośbą przesłania ich do swych krewnych i znajomych w „starym„ kraju. Jednocześnie wysłano agentów do Nowego Jorku, ażeby tam nowoprzybyłych z Polski werbować do pracy, właśnie wtenczas, kiedy już robotników było za wiele na miejscu. Sam byłem świadkiem, kiedy agent w jednym tygodniu przywiózł 30 dziewcząt polskich, co tylko przybyłych z kraju. Dziewczęta zabrano z „Domu św. Józefa" wbrew ich woli, ponieważ ani jedna nie miała zamiaru jechać do Ludlow. Miały adresy i pieniądze na kolej do swych krewnych do Broklyna, Buffalo, Chicago i innych miast. Przywiezione do Ludlow, były na wolności, to też po dwóch tygodniach zaledwie parę z nich zostało, inne pojechały do swych krewnych. Broszurki też zrobiły swoje. Ludzi zjechało bez liku. Robotnik tani. Wtenczas fabrykanci zaczeli obniżać płacę. Tkaczom obniżono z 30 c. na 25 c, na sztuce towaru, później zniżono na 24 c. i wszystkim innym robotnikom obcięto 50 c. dziennie. O strejku nikt nie myślał, bo wtenczas właśnie panika finansowa panowała. Gdy się czasy polepszyły, fabrykanci znowu obcięli tkaczom płacę do 20 centów na sztuce. Tkacze urządzili strejk a z nimi chłopcy, pomocnicy. Wtedy fabrykanci sprowadzili policyę, która katowała „Polendrów" (to jest Polaków), a wtedy powstał ogólny strejk.

Pożar fabryki w Ameryce. Z Filadalfii w Ameryce, gdzie znajduje się bardzo wielu Polaków, telegrafują o wielkim pożarze fabryki ubrań. Kilkanaście robotnic, chcąc ocalić się z płonącej fabryki, po wyskoczeniu przez okno, odniosło ciężkie zranienia; trzy zaś zabiło się na miejscu. Według ostatnich wiadomości, w płomieniach zginęło 20 robotnic.

Wielkie śniegi w Ameryce. Podczas, gdy u nas zbiegała zima bardzo łagodnie, w Stanach Zjednoczonych śniegi spadły nadzwyczaj obfite. W niektórych miastach ulice są tak zawalone śniegiem, że chcąc dostać się z domu do domu, trzeba kopać jamy po pod śnieg. Wskutek tego wśród biedniejszej ludności zaczyna panować niedostatek.

Śmierć Indyanina. Zanim Krzysztof Kolumb odkrył Amerykę, już tam mieszkali ludzie o czerwonej barwie skóry, zupełnie zdziczali — Indyanie. Lud ten był dość liczny i zdrowy, ale z przybyciem Europejczyków do Ameryki przybyło dla nich i nieszczęście, w postaci wódki. Indyanie jako ludzie dzicy, a więc głupi, zasmakowali w tej truciźnie i poczęli się rozpijać. Wiemy dobrze, że dzieci pijaków są słabe, żyją krótko, a giną przeważniż na suchoty. Wskutek pijaństwa Indyanie poczynają wymierać tak, że ich już jest nie wiele w Ameryce. Obecnie umarł główny wódz „czerwonego ludu", który przed laty stał na czele silnego szczepu indyjskiego, będącego postrachem dla białych w sześciu krajach Ameryki. Ostatnie lata życia przepędził jako ociemniały starzec w największej nędzy i opuszczeniu. Nazywał się „Czerwona chmura".



ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Z powodu nadzwyczajnego napływu nowych prenumeratorów, nie możemy wszystkim wysłać „Kalendarza" z nr. 5, przeto prosimy o cierpliwość, a przy nr. 6 wyślemy go wszystkim, którzy do dnia 31 stycznia b. r. nadadzą na poczcie 4 kor. 30 h. jako całoroczną prenumeratę za 1910 r.

P. P. A. Kozdęba w D.: Numera okazowe według podanych adresów posłaliśmy. Za rozpowszechnianie *Roli* serdecznie dziękujemy, prosimy jednak zwracać uwagę na nasze ostrzeżenia, że kto będzie zwłóczył z przesyłką prenumeraty może potem „Kalendarza" nie otrzymać, bo nam go wkrótce braknie. — Józef Połtorano w S.: Zagadka i szarada mają trochę inne znaczenie, ale i takie wytłómaczenie zagadki jest doskonałe, bo prawdziwe. — Antonina Hört w M.: Uczyniliśmy zadość życzeniu — czekamy więc na przesyłkę. — Jan Bratek w W.: *Rolę* wysyłamy, zaś „Kalendarz" wyślemy, gdy otrzymamy resztę prenumeraty. Inaczej uczynić nie możemy, gdyż „Kalendarz" dużo nas kosztuje, a my za druk i oprawę musimy z góry płacić. — Antoni Matecki w L.: Numera od Nowego Roku wysłaliśmy, czekamy na prenumeratę, a po otrzymaniu jej wyślemy „Kalendarz". — Władysław Szydłowski w K.: *Rolę* wysłaliśmy — „Kalendarz" z Nr. 5 idzie. — Jan Kocząb w W.: „Kalendarz" wysłaliśmy 21 stycznia b. r. a nr. 2 osobno. Za zwrócenie uwagi dziękujemy i wysyłkę wstrzymujemy. — Władysław Moskal w G.: Szkoda, że tylko korona posłana, bo gdyby była posłana całoroczna prenumerata, otrzymałby Pan „Kalendarz" i mógłby brać udział w losowaniu nagród za dobre rozwiązanie zagadek, a nagrody są piękne i zawsze wartają 2 do 3 K. W losowaniu o nagrody za dobre rozwiązanie biorą udział tylko prenumeratorzy. — St. Pokój w J.: Wysłaliśmy — czekamy na prenumeratę. — Antoni Niezabitowski w S.: Będziemy posyłać, jak długo Pan zechce, lecz prosimy o prenumeratę. — Stanisław Uryga w Ż.: Wszystko załatwiliśmy według życzenia. Jak podobała się nagroda? — Ks. Adam Warzewski w Ch.: W następnym dniu po wysłaniu „Kalendarzy" z nrem 3-cim nadeszła prenumerata od PWbnego ks. Proboszcza, dlatego „Kalendarz" wysłaliśmy Mu dopiero z nr. 4-tym. — Franciszek Borkowski w G.: Numera *Roli* od początku roku wysyłamy, „Kalendarz" wyślemy, gdy tylko otrzymamy prenumeratę. — Józef Wszołek w S.: Wysyłamy. — Antoni Puzio w K. W.: Czynimy zadość życzeniu. — Kazimierz Tomaszewski w N.: Prenumerata *Roli* na cały rok wynosi 4 K, lecz kto chce dostać w podarku nasz piękny „Kalendarz Powszechny", który w księgarniach kosztuje 2 K, musi dołożyć na przesyłkę 30 hal. — Mikołaj Wyżykowski w R.: Dziękujemy za obietnicę. — Jan Jezioro w O: Znamy dobrze Wasze grunta i wiemy ile to pracy kosztuje, aby z tych piaseczków można się wyżywić i okryć, zwłaszcza, że mieliście dużo wydatków na wybudowanie pięknego kościoła, plebanii, szkoły i ochronki. Przy pomocy Bożej i Czcigodnego Księdza Proboszcza jakoś na wszystko pieniądze się znalazły, to i na gazetkę musi wystarczyć, a pieniądz wydany na oświatę, to pieniądz niestracony. Im jaśniej w głowie, tem ciemniej będzie od grosza w kieszeni. — Franciszek Orzechowski w Z.: Wręczoną nam prenumeratę zapisaliśmy na 1910 r. Ufamy, że zaległość wkrótce Pan wyrówna, przeto daliśmy „Kalendarz". Kółko rolnicze w Górkach: Gorące podziękowanie od Redakcyi za słowa pochwały. Takie uznanie zachęca do pracy i wzmaga]wytrwałość. Postaramy się i nadal nie zawieść nadziei i zaufania czytelników. Kalendarz wysłany, książkę prosimy przyjąć w przyjacielskim upominku. — Leon Łętowski w S.: Za poparcie serdecznie dziękujemy. *Rolę* podług podanych adresów wysłaliśmy. Bardzo nas cieszy, że się wam „Gadka o Maćku" tak podobała. Wkrótce wydrukujemy jeszcze śmieśniejsze gadki, jak: „Opowiadanie nieboszczyka", „Złota laseczka" i inne. — Szymon Opoka w S.: *Rolę* wysyłamy z chęcią, ale „Kalendarza" nie możemy wysłać wcześniej, aż dostaniemy całoroczną prenumeratę. Nie czynimy tego z obawy o pieniądze, ale przysparzałoby nam to bardzo dużo roboty, a czas wolimy zużytkować na pisanie ciekawych rzeczy. — Michał Niewola w S.: O szarady prosimy, a jeżeli będą dobre i jeszcze nigdzie niedrukowane, chętnie umieścimy. — Alojzy Cieśla w B.: Cieszy nas bardzo, że się „Kalendarz" podobał. Za życzenia dziękujemy, bo praca rzeczywiście mozolna, ale w pracy tej mamy to zadowolenie, że *Rola* tak się Czytelnikom podoba. — Franciszek Gniadek w G.: Adres poprawiliśmy.

P. P.: Wojciech Hajdo w J., Anna Kruszewska w Ch., Mikołaj Ginda w B., Mateusz Barszcz w B., Wacław Kościcki w P., Łukasz Dejneka w P., Wojciech Stępień w D., Zygmunt Bogdański w J., Józef Gawle w G., Zarząd Koła Pań T. S. L. w Złoczowie: Numera *Roli* według życzenia wysłaliśmy. — Ignacy Wszołek w W.: Wysyłamy. — Jan Jaskiernia w M.: Wysyłamy. — Józef Witek w S.: Kalendarz zatrzymamy, ale prosimy o pośpiech. — Jan Krzysztofek w M.: *Rolę* z czekiem posyłamy, zaś „Kalendarz" wyślemy gdy otrzymamy 4 K 30 h. na prenumeratę.

W dalszym ciągu całoroczną prenumeratę nadesłali PP.: Bolesław Brodzki z L., Maryan Hipmann z T., Aleksander Skura z N., Jan Kasza z N., Piotr Cwanek z N., Kółko rolnicze z Mogilan, Kółko rolnicze z Kąclowej, Kółko rolnicze z Błudnik, Andrzej Kopacz z Z., Józef Trembecki z P., Michał Pawlus z Z., Wawrzyniec Macioł z S., Józef Strycharz z S., Józef Rydel z W., Józef Gawla z G., Leon Łętowski z S., Jan Świerczek z K., Mikołaj Łabędzki z P. (6 K), Jędrzej Kopta z Ch., Ks. Jakób Konieczny z W., Wawrzyniec Powroźnik z D., Marya Lachowska z D., Jan Jezioro z O., Jan Kruk z B., Jan Bętkowski z S., Jan Bik z K., Jan Czyż z O., Walenty Bęc z T., Franciszek Drozd z Z., Wojciech Gołajuch z D., Franciszek Stec z K., Wojciech Lubas z G., Zwierzchność gminna w Koźmicach małych, Franciszek Gałązka z M., Filip Kober z H., Ks. Franciszek Saferna z G., Jan Pokój z J., Stanisław Matoga z O., Władysław Szydłowski z K., Jan Straub z D., Szczepan Sanetra z Z., Stanisław Bujak z D., Obszar dworski w Baranówce, Laskowska ze Lwowa, Józef Kupiec z W., Jan Chodacki z B., St. Uryga z Ż., Błażej Bugdarowicz z G., Alojzy Cieśla z B., Wawrzyniec Kuflik z N., Przecław Sławiński z K., Wincenty Schmidt z K., Franciszek Szafrański z Ch., Wawrzyniec Baran z D., Paweł Urban z N., Józef Grzebalski z D, Ignacy Wszołek z W., Marcin Dziubek ź K., Marcin Półtorak z M., Wincenty Łabędź z B., Franciszek Orzechowski z Z.. Adam Kucharski z S., Jan Gajewski z R., Jan Kocząb z W., Mikołaj Wyżykowski z R., Michał Puchała z M., Jan Śliz z N., Józef Babiej z L., Kółko rolnicze z Łęk górnych, Michał Ekiert z H., Stanisław Serwin z J, Andrzej Wieczorek z W., Józef Gąsior z G., Józef Czerniejewski z G. Wiktor Słonecki z Ż. W. Kozdroń z N., Ks. W. Siedlecki z M.. Wojciech Stypuła z Z., Gabryel Jarosz z K., Wojciech Kapuściński z P., Jan Maślanka z J., Ks. Ludwik Mirek z N. T., Walenty Gierula z N., Zwierzchność gminna Ohojno, Władysław Moskal z G. K., Wojciech Malec z W. D., J. Kasprzyk z K. g., Marya Zalasińska z Sz.

— Franek! czemu ty mas takie brudne usy?
— Dzis! To u nas już w rodzie.

W SKLEPIE.

Marysia: Proszę za cztery centy cukru i sześć centów reszty, a mama jutro odda szóstkę.

SĄSIADKI.

— Ta Antoniowa nie może utrzymać języka za zębami.

— Ba!... bo ona już niema zębów, ino pniaki.

Wydawcy: Dr. Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie pod zarządem Adolfa Nowaka.